

Stanisław Stratijew

Puste pokoje

Stanisław Stratijew

Puste pokoje

Przełożyła Liliana Bardijewska

[www.stanislawstratiev.org](http://www.stanislawstratiev.org)

Puste pokoje

© Stanislav Stratiev, 1999

© Liliana Bardijewska, 2014

© Aeolus Project, 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być wykorzystywana, powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

OSOBY

ALEKSANDER

JEAN-PAUL SARTRE

NIJA

WŁADIMIR

GŁOS

*Mieszkanie w bloku, sypialnia i salon. W salonie nie ma nikogo. Regały z książkami, obrazy, rzeźbiona szafka, na niej telefon z sekretarką. W sypialni Aleksander podpira oburącz jedną ze ścian, która wyraźnie chyli się ku ziemi. Wiszą na niej zdjęcia – ślubne, syna z wojska, rodziców. Bezwładnie zwisa lustro. Na przeciwległej ścianie – odwrócona na lewo ręcznie haftowana makata z widocznymi supłami i pętelkami z kolorowej włóczki. Aleksander niczym Atlas podtrzymuje ścianę, która oderwała się od trzech pozostałych i wspiera się tylko na jego ramionach.*

ALEKSANDER. Tylko spokój!... Żadnej paniki! Tu potrzebna jest rzeczowa analiza! Same fakty! A jakie są fakty? Siedzę w kuchni, jem śniadanie, najnormalniej w świecie sobie jem i nagle słyszę w sypialni jakiś rumor. Rzucam wszystko, pędzę do pokoju i co widzę? Leci ściana. Patrzę i oczy przecieram, a ona już prawie na podłodze. Więc co robię? Włazę pod nią, żeby ją podeprzeć. Takie są fakty... *(Cisza)* Po pierwsze – ta ściana za chwilę zmiażdży mnie jak karalucha, po drugie – nie mam żadnej szansy ucieczki. Za głęboko się wpakowałem... i za daleko... Jak zwykle. Mam to od małego – najpierw się w coś pakuję, a potem dopiero myślę. Kiedy już myślenie psu na budę... *(Cisza)* Co tu zresztą marzyć o ucieczce. Przecież jeśli ją puszczę, to polecą. A jaką ja mogę mieć gwarancję, że za nią nie polecą następne? Przecież wspierają się jedna na drugiej... A jeśli po sypialni sypnie się kuchnia, a potem salon i cała reszta? Jaką ja mogę mieć gwarancję, że kiedy szlag trafi moje mieszkanie, nie gruchną za nim górne piętra, a potem dolne, a potem sąsiednie klatki schodowe, a na koniec – cały blok? Żadnej gwarancji! I to jest właśnie najgorsze – nie ma żadnej gwarancji, na nic. Wszystko może się zdarzyć i, rzecz jasna, się zdarza. Siedź tu teraz skulony jak karaluch i łam sobie głowę, co robić! Bądź co bądź w tym domu mieszkają dwa pokolenia, z których jedno zostało poczęte o tutaj, w tym łóżku. Nie wspomnę już, że to drugie żyły z siebie wypruwało, żeby się tego mieszkania dorobić... Jeśli więc miałyby się zawalić, to niech i mnie pogrzebie za jednym zamachem! Nie, muszę to jakoś wytrzymać. Przynajmniej do powrotu żony! Żeby nie wiem co! *(Cisza)* A zresztą, czy ja mam inne wyjście? Ucieczka odpada, a krzycheć –

kto by tam usłyszał... To znaczy – usłyszeć usłyszą, ale nikt nawet palcem w bucie nie kiwnie. Od dawna już nikt nie zwraca uwagi na głosy, ani krzyki zza ściany. I pomyśleć, że zaraz po wprowadzeniu byle hałas zrywał nas na równe nogi, lecieliśmy na każdy szmer... A dzisiaj choćby bomba atomowa walnęła u sąsiadów...

Wzywanie pomocy jest najzupełniej bezcelowe, tylko strata energii. A energia będzie mi teraz potrzebna jak mało co... Bo ten ciężar... (*Cisza. Próbuje się wygodniej ustawić. Gimnastykuje ramiona, ociera pot z czoła*) Spociłem się jak pies i nogi mi się trzęsą... Zawsze miałem mocne nogi, miejmy nadzieję, że i tym razem mnie nie zawiodą. Ojciec też miał mocne nogi... I dziadek... Cała rodzina była mocna w nogach, zawsze mi to imponowało... (*Cisza*) Jasne, że mogłem mieć trochę więcej szczęścia... Gdyby tak zawaliła się ściana w salonie, na przykład ta koło telefonu – mógłbym wtedy podpierać i dzwonić za jednym zamachem... Ale nie – musiała polecieć ta najdalsza... Takie już moje pieskie szczęście... Nigdy nie wygrałem na loterii, nic nigdy nie spadło mi ot tak, z nieba... Tyram od rana do nocy jak dziki koń, wypruwam sobie żyły, a wyniki olśniewające nie są, trzeba to sobie jasno powiedzieć. Ale jakoś tam się żyło... Kiedy jednak już ściany zaczynają się walić... Nie żebym się skarżył, skądże znowu, ale to już chyba lekka przesada...

Pieszczochem losu to ja nigdy nie byłem... Wcale się nie skarżę, ale taka jest prawda... Fakt obiektywny... Nie ma we mnie buntu, ani trochę... Widać tak musiało być. Nieuchronny przypadek. Czy raczej przypadkowa prawidłowość. Tak mi widać było pisane. No cóż – los. Nie mam zamiaru walczyć z losem, ani mi się śni... Ja nie z tych, co to płaczą nad sobą, wyrzekają, wyklinają i te rzeczy... Przeciwnie, ja wierzę w przeznaczenie... Co wcale nie znaczy, że daję się nieść z prądem, bynajmniej... Po prostu całkowicie się zdaję na los i mam do niego pełne zaufanie. (*Cisza*) Tym bardziej, że nic innego mi nie pozostaje. Nie da się tu nic podstawić, ani podeprzeć, ani podwiesić, ani przybić, ani przysunąć... Krokiem nie mogę się stąd ruszyć! Siedzę tu pod tą płytą jak karaluch i tylko czekam aż mnie sprasuje! Ładna perspektywa, szkoda gadać! (*Cisza.*) A ta płyta robi się coraz cięższa i cięższa... Czuję, że słabnę... Zupełnie jakbym się zmieniał w galaretę, a

może mi się wydaje... Ironia losu, człowiek siedzi sobie w kuchni i najspokojniej w świecie je śniadanie i co... Za chwilę już ma na głowie całą ścianę, jest na granicy życia i śmierci! O dupę potłuc takie życie! (*Cisza*) No tak, a teraz popłacz sobie, pogłaszcz się po główce, bardzo ci to pomoże... Weź się, chłopie, w garść! Weź swój los w swoje ręce, a potem będziemy się martwić!...

*W salonie, który oddzielony jest tylko jedną ścianą od sypialni, gdzie znajduje się Aleksander, dzwoni telefon.*

GŁOS (*z telefonu*). Saszo, znalazłam dywan, jakiego szukałam, ale zabrakło mi pieniędzy. Po pracy wyskoczę do banku. Dzwonię, żebyś się nie martwił. Trochę się spóźnię. Pa!

ALEKSANDER (*Krzyczy*). Nie! nie! Wracaj natychmiast! (*Sekretarka się wyłącza.*) Boże Święty – będzie skakała do banku! A mnie tu całkiem rozplaszczy! I to kto?! Najbliższy mi człowiek! Matka moich dzieci! I ja mam się nie martwić! Ja tu ginę, a ona – nie martw się, pa! Jasne, że nie będę się martwił, kochanie, martwi się nie martwią! (*Cisza*) Jeszcze nie zdążyłem się na dobre zbuntować, a los już mnie pokarał... Mój ratunek się oddala... (*Cisza*) A może syn niespodziewanie wróci... To nawet do niego podobne... Zawsze lubił nas zaskakiwać... Od małego... taki charakter... I do dzisiaj nie przestał nas zaskakiwać... w najlepszym tego słowa znaczeniu... To bardzo dobry chłopak... Ma w życiu swój cel... Przejść po linie nad wodospadem Niagara... Ja go rozumiem, każdy ma jakieś marzenie... Chociaż akurat to, muszę przyznać, trochę mnie dziwi... ale w końcu kształci się na inżyniera... Tam nad środkiem wodospadu, powiada, spotka samego siebie... Tylko tam... w żadnym innym miejscu się ze sobą nie spotka... No i dobra, problem jednak w tym, że do spotkania może nie dojść... wystarczy jeden silniejszy powiew wiatru i... Słabo mi się robi na samą myśl... O tak, młodzież umie zaskakiwać, niezależnie od tego, co o niej myślimy. Nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy zamarzyć o czymś takim... A jemu przyszło... (*Cisza*) Ależ ciężka ta cholerna płyta! (*Próbuje*

*zmienić pozycję na wygodniejszą.) Zdarła mi całą skórę na karku! Co za los, że też nie mogła polecieć ta ściana z makatą! Skoro już przeznaczenie uwzięło się, żeby coś demolować! Przynajmniej raz ta ścierka by się na coś przydała! Osłoniłaby mi kark... zamiast tam wisieć bez sensu odwrócona na lewo aż do następnego przyjazdu mojej matki! Kiedy to na jej cześć wieszamy ją normalnie, żeby mamusi nie urazić! Ostatnio coś rzadko do nas zagląda! Całymi dniami przesiaduje na bazarze i sprzedaje te swoje makaty! Własnoręcznie haftowane... Jak dotąd nie sprzedała ani jednej, ale to jej bynajmniej nie zraża i dzierga ich po kilka na miesiąc... A kto jej dziś kupi makatę z Marksem, Engelsem, Leninem i Stalinem?! Ileśmy się natłumaczyli: mama, zmień deseń – jak grochem o ścianę... Wyszywa tych wodzów od przedszkola... potem utrzymywała z tego cały dom, uczyła wyszywania w szkole, ba, miała nawet wystawy, w NRD... Weszło jej w nawyk... Ręka sama haftuje, wyszywa z pamięci... Kokosów na tym nie robi, ale dzięki temu trzyma się w formie... Trzyma się... Więc pytam – dlaczego nie przyjedzie tu teraz, żeby pomóc własnemu synowi... Jeśli tylko przyjedziesz, zawieszę jeszcze jedną makatę, na honorowym miejscu w salonie, słowo ci daję... I to na prawą stronę! (Cisza.)*

*W tym momencie w salonie pojawia się Jean-Paul Sartre. Porusza się bezszelestnie, rozgląda się, bada sytuację... Niechcący strąca wazon, dźwięk tłuczonego szkła słyszy Aleksander w sypialni.*

ALEKSANDER (*radośnie*). Mamo, to ty? Skąd wiedziałaś?! Biedaczka, znowu stłukła wazon! To też już jej weszło w nawyk... Zostaw te skorupy, chodź tutaj, bo przygniotła mnie ściana i nie mogę się ruszyć! Dźwigam ją już najmarniej dwadzieścia minut! (Jean-Paul Sartre *nieruchomieje*. Cisza.) Mamo! No chodź już, nie będę się gniewał o ten wazon! (Cisza) Słyszysz?! Przestań się guzdrać! Chodź wreszcie, bo już nie wytrzymuję! Ile razy mam powtarzać – ściana się wali i właśnie leży mi na karku! Zaraz mnie sprasuje! Słyszysz! Mamo!

JEAN-PAUL. To nie matka.

ALAKSANDER. Jak to – nie matka?! Więc kto?!

JEAN-PAUL. Cokolwiek ci powiem, minę się z prawdą.

ALEKSANDER. Co za bzdury?! Kim pan jest?! Co pan robi w moim mieszkaniu?!

JEAN-PAUL. Przyszedłem się rozejrzeć, czy coś mi się nie nada.

ALEKSANDER. Co takiego?!

JEAN-PAUL. Ale kiepsko mi to wygląda. (*Wyciąga książki z półek, kartkuje je, przetrząsa, szukając pieniędzy.*) Zawsze miałem pecha i trafiałem na gości, którzy wszystkie pieniądze ładowali w książki... no masz... jeszcze i ceramika...

ALEKSANDER. To prezent.

JEAN-PAUL. Człowieku, kupiłbyś sobie jakieś hitachi, jakąś markową aparaturę, jakieś video, kamerę, coś... Nie, oni wyrzucają pieniądze na makulaturę, kupują sobie jakieś bojłery, głupoty... (*W trakcie swojej przemowy otwiera szafę, grzebie w niej, zagląda za nią, pod nią, ostukuje podłogę, szukając skrytek.*) Prawdziwy Europejczyk lokuje pieniądze w biżuterii... w złotych zegarkach... zamontuje sobie sejf, o tu, za obrazem... (*Podnosi obraz i puszcza go z pogardą.*)... pełny numizmatów... klaserów z rzadkimi znaczkami... I wartościowe, i poręczne w noszeniu... Jak nie umiesz wydawać, to przynajmniej byś oszczędzał! Najlepiej w dolarach... Schowałbyś je potem w bezpiecznym miejscu... powiedzmy tutaj... (*Wyciąga z kieszeni kawałek drutu i "sonduje" nim wielką donicę z fikusem.*) albo pod podłogą (*Opukuje palcem parkiet.*)... albo na balkonie... (*Wygląda przez balkon.*) Ale gdzie tam! Co za prostacki naród! Najbardziej mnie złości ten kompletny brak klasy! Kto to słyszał, żeby przejadać siedemdziesiąt cztery procent swoich dochodów! Pokażcie mi drugi taki naród na świecie, który by całą swoją forszę ładował w żarcie! Żadnej kultury, i taka jest prawda! To może załamać nawet największego optymistę! No masz, znowu się zdenerwowałem! (*Mierzy sobie puls.*) Nie dość, że mam anemię i niedobór żelaza... Uff, muszę usiąść! (*Siada w fotelu i zapala papierosa.*) Przestać o tym myśleć! (*Pali papierosa. Cisza.*)

ALEKSANDER (*z sypialni*). Poczęstowałbyś mnie papierosem?!

JEAN-PAUL. Poczekaj sobie!

ALEKSANDER. Dlaczego?

JEAN-PAUL. Przecież byś mnie zobaczył.

ALEKSANDER. Zupełnie nie mam pamięci do twarzy.

JEAN-PAUL. Uhm, prawda była...

ALEKSANDER. Słowo honoru. Zdarzało się, że patrzę w lustro i mówię sobie: Skąd ja znam tego faceta...

JEAN-PAUL (*Kiwa przecząco głową.*) Nic z tego! (*Cisza.*)

ALEKSANDER. Nie masz kawałka sznurka?

JEAN-PAUL. A jak mam, to co?

ALEKSANDER. Przywiązałbyś papierosa do pudełka zapalek i rzuciłbyś mi. Nie musiałbyś się pokazywać... Po prostu byś rzucił.

JEAN-PAUL. Dlaczego miałbym to zrobić?

ALEKSANDER. I ty możesz się kiedyś w życiu tak władować...

JEAN-PAUL. Z tego, co wiem, to nie życie cię władowało. Sam żeś się władował.

ALEKSANDER. A co?! Miałem może pozwolić, żeby chałupa mi się rozleciała jak talia kart? I co ja bez niej zrobię?

JEAN-PAUL. W porządku. (*Wyciąga z kieszeni kawałek sznurka, obwiązuje nim paczkę papierosów i zapalki, podchodzi do otwartych drzwi, zamachuje się i rzuca.*)  
Trafiłem?

ALEKSANDER. Metr bardziej w prawo. No, może gdzieś metr dwadzieścia...

JEAN-PAUL. Co ty powiesz?! Nie dwadzieścia dwa?!... Przecież muszę się orientować po głosie! (*Ciągnie "rzutkę" z powrotem i ponawia próbę.*) No, jak teraz?

ALEKSANDER. Teraz już... prawie... prawie... (*Próbuje dosięgnąć paczki nogą i po dłuższej chwili mu się to udaje.*) Mam! Jest! Wielkie dzięki!

JEAN-PAUL. Nie ma za co. Odwiąż tylko sznurek.

*Aleksander odwiązuje papierosy, Jean-Paul zwija sznurek.*

ALEKSANDER. Wiesz, ciągle się zbierałem, żeby kupić nowy telewizor, ale ...

JEAN-PAUL. Dobra już, dobra, nie musisz się tłumaczyć.

ALEKSANDER. Bo tak jakoś głupio wyszło.

JEAN-PAUL. Liczą się dobre chęci. (*Palą w milczeniu.*) Długo masz zamier jeszcze tak podierać?

ALEKSANDER. Dopóki żona nie wróci.

JEAN-PAUL. A kiedy wraca?

ALEKSANDER. Może zaraz, a może wieczorem. Bóg raczy wiedzieć.

JEAN-PAUL. Nie chcę cię martwić, stary, ale do wieczora możesz już być karaluchem.

ALEKSANDER. Co masz na myśli?

JEAN-PAUL. Przecież człowiek nie może żyć bezkarnie pod taką presją. W takich ekstremalnych warunkach organizm musi ulec jakimś zmianom, nie?

ALEKSANDER. Jednego w każdym razie mogę być pewien – jeśli ktoś tu musi czemuś ulec – to na pewno ja. Mur beton. Takie moje pieskie szczęście.

JEAN-PAUL. Wielkie mi co – będziesz trochę bardziej płaski... Może to i lepiej... I trochę mniejszy... (*Pokazuje palcami rozmiar karalucha.*)

ALEKSANDER (*zrezygnowany*). Będę się musiał pół godziny gramolić, żeby wleźć na krzesło!

JEAN-PAUL. Ale to może mieć i swoje dobre strony...

*Dzwoni telefon, długo, uporczywie.*

ALEKSANDER. Mógłbyś odebrać?

JEAN-PAUL. Nie.

ALEKSANDER. Prawda, zapomniałem!...

*Włącza się sekretarka.*

GŁOS. Wiesz, Saszo, nie będę brać pieniędzy z konta. Wpadnę do domu i wezmę te trzysta dolarów, które schowaliśmy...

ALEKSANDER (*krzyczy*). Cicho! Zamilcz, kobieto!

GŁOS. ...w ceramice. Żebyś się nie dziwił, że zniknęły!

*Sekretarka się wyłącza. Cisza.*

JEAN-PAUL. Nieładnie. I tak miałem sprawdzić tę skorupę, ale zawiodłem się na tobie. Nie jesteś ze mną szczery.

*Aleksander milczy. Jean-Paul odwraca rzeźbę, wyciąga dolary, liczy je.*

JEAN-PAUL. To była żona?... (*Aleksander milczy.*) Tu nie ma trzystu! (*Powtórnie liczy.*) Jest dwieście sześćdziesiąt! Ktoś cię okrada!

ALEKSANDER. I kto to mówi?!

JEAN-PAUL. Ja cię tylko informuję. A informacja jest dźwignią władzy.

ALEKSANDER (*gorzko*). Uważaj, żebym się nie przedzwiagał...

JEAN-PAUL. Nie będziesz przecież wiecznie targał tej ściany. Kiedyś w końcu... jakoś... tak czy inaczej...

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Nie łam się... Wolę dać ci przykład.

ALEKSANDER. Wiesz, co możesz zrobić ze swoim przykładem?! Możesz go sobie...

JEAN-PAUL. Nie rozumiem, czego się wściekasz. Żona zaraz wróci i masz z głowy. Jeśli ktoś tu ma być wściekły, to już raczej ja – znowu pudło. Głupie 260 dolarów...

ALEKSANDER. Dla kogo głupie, dla tego głupie...

JEAN-PAUL. Człowiek to jednak dziwne stworzenie! Dwie minuty temu jeszcze ledwo zipsał, a teraz nic tylko forsa i forsa!

ALEKSANDER (*wściekły*). I kto tu mówi o człowieku?! Jakiś mutant!

JEAN-PAUL (*urazony*). A ty za kogo się uważasz?! Przydusiło go trochę i już nowy Prometeusz!

ALEKSANDER. Ja w każdym razie nie rabuję ludzi przywalonych wielką płytą! Ty nawet nie jesteś normalnym złodziejem!

JEAN-PAUL. Normalny się znalazł! A kto przy zdrowych zmysłach ładuje się pod walącą się ścianę?! Kto normalny dźwiga ją na karku przez cały boży dzień?!

ALEKSANDER. Gdybyś nie był taki amoralny, doszedłbyś własnym rozumem, dlaczego ją dźwigam!

JEAN-PAUL. A jakże – żeby ci się chałupa nie zawaliła!

ALEKSANDER. Nie tylko moja! Całe piętro! Cała klatka schodowa! Cały blok!

JEAN-PAUL (*ironicznie*). ...Całe miasto.

ALEKSANDER. Wiesz ty co?! Będę udawał, że cię tu po prostu nie ma! Że jesteś płodem mojej chorej wyobraźni, owocem manii prześladowczej. I zacznę sobie myśleć o czymś innym...

JEAN-PAUL. Zamykasz się we własnej skorupie!

ALEKSANDER. Ciebie już nie ma. Myślę o czymś zupełnie innym.

JEAN-PAUL. Ale z ciebie schizofrenik!

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Wiem, że o niczym nie myślisz.

ALEKSANDER. Jesteś tylko widziadłem. Nędzną nieobecnością.

*Nim Jean-Paul zdąży cokolwiek odpowiedzieć, dzwoni telefon. Dzwoni długo, uporczywie. Obaj w milczeniu czekają na włączenie się sekretarki. Sekretarka włącza się.*

GŁOS. Saszo, wiesz, nie ma sensu, żebym jechała taki kawał do domu. Pożyczę po prostu od Laury, ona mieszka dwa kroki stąd. Dzwonię, żebyś się nie martwił, że się spóźnię. Dywan jest fantastyczny, żeby mi tylko nie wykupili...

*Sekretarka się wyłącza. Cisza.*

JEAN-PAUL. Jak to powiadają – sytuacja zrobiła się podbramkowa...

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Nie łam się, stary.

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Gorsze wypadki chodzą po ludziach.

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Nasze płyty są i tak najłżejsze. Nasi nie ładują do nich tych wszystkich komponentów. Gdybyś tak trafił na niemiecką...

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. No już nie narzekaj – może nie jest za dobrze, ale nie jest jeszcze najgorzej. W gruncie rzeczy twoja sytuacja się nie pogorszyła. A czy to mało?

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Po prostu nic się nie zmieniło. Człowieku, czy ty wiesz, ilu ludzi marzy tylko o tym, żeby im się nie zmieniło?! "Chwilo trwaj, jakże jesteś piękna!"

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Nie łam się, stary. Jakoś wytrwasz. My jesteśmy twardego narodu.

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL. Cała nasza historia to jedno wielkie wytrwanie. Wszystko przetrwaliśmy.

*Aleksander milczy.*

JEAN-PAUL (*konstatuje*). To jest właśnie pierwszy etap – zanik mowy. Potem wyrastają czułki, ssawki, chitynowy pancerzyk...

ALEKSANDER (*krzyczy*). Wynoś się stąd, ty łachudro! Zabieraj, co masz zabrać i wynoś się!

JEAN-PAUL. Rozumiem, że ci ciężko, ale to jeszcze nie daje ci prawa obrażać ludzi...

ALEKSANDER. I zamknij się! Przestań wreszcie głądzić!

JEAN-PAUL. A ty co, myślisz, że umieram ze szczęścia, robiąc to, co robię?... Że jestem w siódmym niebie... No to wiedz, że robię to bez żadnej przyjemności. Ta robota nie daje mi zadowolenia... bynajmniej... Nie czuję się usatysfakcjonowany... bynajmniej... Zawsze chciałem być zwiastunem dobrych wieści! Od dziecka o tym marzyłem! Herold, który przynosi same dobre wiadomości! Zawsze chciałem nim być! Ale powinęła mi się noga. Mogłem być kimś, mogłem przynajmniej spróbować... I co?... A teraz dostaję za to w skórę... Ciebie okradziono, ale w skórę dostaję ja... zwyciężony jestem ja...

ALEKSANDER. A ja niby mam być zwycięzcą?!

JEAN-PAUL. Ty też jesteś zwyciężony, wszyscy jesteśmy zwyciężeni... Całe nasze pokolenie dostaje w skórę...

ALEKSANDER. A co ty możesz wiedzieć o moim pokoleniu?

JEAN-PAUL. Dźwigasz na ramionach wielką płytę, przyjacielu... A więc jesteś z mojego pokolenia...

ALEKSANDER. Bzdura!

JEAN-PAUL. Na półkach – książki, w skorupie – trzysta dolarów. Trudno się pomylić, należysz do mojego pokolenia, przyjacielu...

ALEKSANDER. Nie jestem dla ciebie żadnym przyjacielem!

JEAN-PAUL. Nie dość centrowi, nie dość dzisiejsi, nie dość mocni, a przy tym nie dość zacofani – oto cali my, przyjacielu...

ALEKSANDER. Zawsze obrabiasz swoich przyjaciół?!

JEAN-PAUL. Nie podchodzę do tego tak osobiście, to tylko biznes. Dlaczego nie mielibyśmy być przyjaciółmi?

ALEKSANDER. Skoro tak, to zadzwoń, przyjacielu, do mojej żony. I powiedz jej, żeby w tej chwili wracała do domu!

JEAN-PAUL (*Kiwając przecząco głową*). To najzupełniej bezcelowe, przyjacielu. Twoja żona jest teraz u Laury, a potem ruszy w miasto po ten swój dywan... Ale jeśli masz jakieś złudzenia... Daj ten numer, mogę przedzwonić, proszę bardzo... (*Mówi to melancholijnym głosem, z nagłą goryczą.*)

ALEKSANDER. Nie znam telefonu Laury... Ja jej w ogóle nie znam! Zadzwoń na policję! Do straży pożarnej! Ktoś przecież w końcu musi przyjechać!

JEAN-PAUL. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, przyjacielu – nikt nie przyjedzie. Sam wiesz o tym lepiej ode mnie. Co mam im powiedzieć? Przyjedźcie, bo jednemu facetowi jest ciężko? Bo dźwiga na karku wielką płytę? Jeśli od razu nie trzasną słuchawką, to tylko, żeby mi nawtykać. Nie chcę cię martwić, przyjacielu, ale twoje dzieciaki też nie przyjdą. I ja to wiem, i ty to wiesz... Przychodzą tylko nieproszeni

goście... tacy jak ja... Niczym w antycznej tragedii – dosięga nas tylko to, czego najbardziej nie chcemy...

ALEKSANDER. Naczytany jesteś jak na swój fach.

JEAN-PAUL (*Uśmiecha się melancholijnie*). A cóż to jest fach, przyjacielu.

Wszyscy mamy tylko jeden fach – człowiek... Ale mało kto w nim robi... Fach to rzecz względna, dziś taki, jutro owaki... Jutro mogę się znaleźć, dajmy na to, na twoim miejscu, a ty na moim...

ALEKSANDER. Ba, jutro! Jutro to będziesz ganiał za mną z kapciem, żeby mnie utłuc!

JEAN-PAUL. A wiesz, powiem ci, że ja nawet lubię karaluchy. Za tę ich ascezę. Za stoicyzm, z jakim wszystko znoszą – nikt ich przecież nie lubi... A poza tym – są inteligentne...

ALEKSANDER (*mimowolnie*). Też o tym słyszałem...

JEAN-PAUL. To najprawdziwsza prawda. I jeszcze coś ci powiem – ja też jestem przygwożdżony... Ale moja płyta jest dużo cięższa od twojej... nieporównanie cięższa...

ALEKSANDER. I co cię tak przygważdża?

JEAN-PAUL (*melancholijnie*). Nie ma sławy, nie ma wieczności, to, co rozdałeś, nigdy już do ciebie nie wróci, a wszystko, co wypuściłeś z ręki, jest bezpowrotnie stracone... Życie to jedno nieustanne i nieodwracalne marnotrawstwo. Żadnej utopii, żadnej alternatywy... Czyż może być cięższa płyta... Wiecznie pod nią tkwisz... Zamierzałem zabrać ci telefon, ale ogarnęła mnie taka melancholia, że po prostu mnie obezwładniła i już wszystkiego mi się odechciało, nawet życia... Ostatnio coraz częściej mi się to zdarza... Pójdę się chyba położyć... na chwilę zamknę oczy... Odwagi! Cóż innego mogę ci powiedzieć... (*Idzie do wyjścia*.)

ALEKSANDER. Do zobaczenia!

JEAN-PAUL. Lepiej dla nas obu, żebyśmy się już więcej nie zobaczyli!

*Jean-Paul wychodzi.*

ALEKSANDER. Niech to piorun trzaśnie, ale się porobiło – człowiek sam już nie wie, czy złodziej mu się włamał do chałupy czy sam Jean-Paul Sartre ... włamywacz (*Cisza*) Ale w gruncie rzeczy, co do karaluchów ma rację – są inteligentne... I jeśli się tak dobrze zastanowić, wcale nie takie paskudne... (*Cisza.*) Nie, nie wolno się poddawać takim nastrojom, bo jeszcze chwila i naprawdę wyrosną mi czułki... (*Obmacuje nos na wszelki wypadek.*) Miał rację i co do drugiej sprawy – pies z kulawą nogą się nie pojawił... Nikt z najbliższych... ani żona... ani dzieci... ani pies... A po diabła ja trzymam tego kundla, jeśli nie po to właśnie?! Z daleka powinien wszystko wniuchać, wyczuć i wiedziony instynktem przyznać na pomoc! A guzik! Siedzi tam teraz na przystanku i żebrze po ludziach, a o mnie nawet nie pomyśli... Myślałby kto, że głodny, ale przecież z głodu nie zdycha... Specjalnie go może nie przekarmiamy, wiadomo – ciężkie czasy, ale przecież nie trzymamy go na głodniaka... co to, to nie... A on już z samego rana pryska na dwór, żeby żebrać na przystanku... Udaje kulawego... Kuleje na wszystkie trzy łapy, aż serce boli patrzeć... Czołga się jak zbity pies, a w oczach – łzy i bezgraniczna pokora, jakby mówił: "Życie to koszmar, ale żyję i znoszę wszystko bez jęku"... Kawał aktora... Wychodzi skoro świt, a wraca po nocy z podkulonym ogonem i pełnym brzuchem... Aż wstydzę się wsiadać na naszym przystanku, muszę chodzić piechotą do następnego!

*Zapala papierosa i wściekły zaczyna spacerować po pokoju z płytą na plecach. Wygląda jak jakieś dziwaczne zwierzę – gigantyczny motyl, żółw-mutant czy dinozaur nieznanego gatunku. Albo jak prototyp samolotu – jednopłytowca.*

ALEKSANDER. I pomyśleć, że są psy, które potrafią się przekopać nawet przez sześciometrową lawinę, żeby uratować człowieka! I to z baryłką rumu na szyi! A spróbowałbyś naszym przytroczyć baryłkę – rum wyłopią i nawet się nie obejrzą na lawinę! Polecą za pierwszą lepszą suką! (*Cisza. Chodzi rozdrażniony, pali*

*papierosa.*) Nawet psy zmarnowaliśmy! Miał rację ten Jean-Paul Sartre – to nie życie, tylko próba wytrzymałości! Próba non stop – wytrzymaj niewolę, wytrzymaj wolność... wytrzymaj sam siebie... innych... Może gdzieś tam umieją żyć normalnie, umieją cieszyć się tym życiem, coś robić... Ale nie my... My tylko umiemy zaciskać zęby i wytrzymywać... Czegośmy już nie wytrzymali... aż strach pomyśleć... I co jeszcze wytrzymamy... Normalny człowiek nie jest w stanie tego nawet ogarnąć... (*Cisza.*) Wygląda na to, że ten złodziejaszek we wszystkim miał rację... A może to wcale nie był złodziej? A może to był posłaniec, zwiastun złych nowin? Herold złych wieści? Diabli go nadali, czyżbym naprawdę miał się zmienić w karalucha? (*Cisza.*) Jakies głupoty mi przychodzą do głowy! To wszystko przez ten cholerny ciężar! Zaraz normalnie mnie sprasuje! Nigdy nie sądziłem, że taka płyta może tyle ważyć! (*Cisza.*) Piętnaście minut będę się gramolić, żeby wleźć na krzesło! Koszmar! A zresztą na diabła mi krzesło, co ja będę robić na krześle? Spokojnie mogę się wylegiwać pod piecem, albo pod szafą... (*Cisza.*) Ciekawe swoją drogą, jak też u karaluchów wygląda kwestia seksu... Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym problemem... Dopóki człowiek nie jest przyparty do muru, bywa strasznie indyferentny na wiele spraw... Jedno jest pewne – wytrzymają wybuch atomowy... (*Cisza.*) I co z tego – znowu test na wytrzymałość... Czy jesteś człowiekiem, czy karaluchem – na jedno wychodzi. (*Cisza.*) Czy ja miałem jakiś wybór – oto jest pytanie. Czy mogłem wybierać? Nie mogłem, bo nigdy nie miałem prawa wyboru... Mogłem wybierać tylko między większym i mniejszym złem... (*Cisza.*) I to miało być życie? (*Cisza.*) I już przeleciało? Jak sobie pomyślę, ile rzeczy mi przeszło koło nosa... Ten facet miał rację – życie to nieustanne i nieodwracalne marnotawstwo. Wystarczy spojrzeć na mnie – tkwię tu pod tą płytą i zadaję sobie głupie pytania... zmieniając się w coś... skrzydlatego i z czułkami... (*Cisza.*)

*Chodzi z kąta w kąt z płytą na plecach, nie zdając sobie sprawy, że nie stoi na swoim miejscu przy innych ścianach; nie czuje też ciężaru płyty. My również o tym zapomnijmy, przyjmijmy tę płytę raczej jako metaforę samego życia, tego, czym*

*żyliśmy i dla czego żyliśmy... I z powodu czego stopniowo zmieniamy się w coś skrzydlatego, z czułkami... Nagle daje się słyszeć straszliwy rumor z piętra powyżej... Zupełnie jakby się walił cały blok...*

ALEKSANDER. Boże, wali się! Chryste, leci cały blok! (*Przerażony spogląda w sufit.*) Wali się górne piętro! Wiedziałem, że tak będzie! Wszystko się poprzesuwało, punkt ciężkości został zachwiany! Rozlecimy się jak tekturowe pudełko! (*Biega w panice.*) Koniec, już po nas! Może gdybym był karaluchem jakoś bym się wywinął!

*Rumor nagle cichnie. Wszystko stoi na swoim miejscu, nie ma żadnych zniszczeń. Cisza. W ciszy słychać głuchy odgłos padającego na ziemię ciała.*

ALEKSANDER. No nie! A ten furiat znowu wywala pianino! Który to już raz! Od dziesiątków lat! Wlecze je do okna i tam dogania go żona! Daje mu w łeb czymś ciężkim i targa pianino z powrotem na miejsce. Bo to ślubny prezent od mamusi! (*Na potwierdzenie jego słów rumor się powtarza, tym razem w przeciwnym kierunku. Aleksander chwyta się za głowę, zatyka sobie uszy.*) Żeby przynajmniej choć raz ktoś kiedyś na nim zagrał! W życiu nie wydało jednego dźwięku! (*Wrzeszczy w furii.*) Potąd mam tego waszego pianina! Człowieku, weź wywal je raz wreszcie, a dobrze! Spal! Wysadź w powietrze, choćby granatem! (*Cisza.*) Nie, no ja oszaleję! Za każdym razem jakby Wezuwiusz wybuchał mi nad głową! (*Wściekły krąży po pokoju.*) Chryste Panie, teraz znowu widzę wszystko, co mam za plecami! No widzę tak wyraźnie, jakbym miał oczy z tyłu głowy! Calutki pokój widzę! (*Przerażony.*) Co się dzieje?! Dlaczego ja widzę wszystko?! Dlaczego to wszystko jest rozczłonkowane... na segmenty... jak jakaś symulacja komputerowa?! Dlaczego jest płaskie?! No, nie, nie, nie! Mam owadzie złożone oczy! Boże, nie pozwól! Nie! Nie chcę! Nie chcę!

*Aleksander miota się po pokoju, jakby próbował uciec przed czymś, co tak naprawdę jest w jego głowie. W odruchu paniki usiłuje wspiąć się na ścianę, wywraca się, pada na plecy niczym gigantyczny żółw, jakiś potworowaty chrabąszcz. Wymachuje rękami i nogami, ale nie jest w stanie ani się podnieść, ani odwrócić...*

ALEKSANDER. Ratunku! Czy nikt tu nie przyjdzie?! Nie przyjdzie nikt?! Czy mój głos w ogóle słyhać? Czy ja jeszcze wydaję jakikolwiek dźwięk, czy już może tylko brzęczę? Tylko poruszam powietrze?! A może już go nawet nie poruszam?! Nie, o mój Boże! Nie! Nie chcę!

NIJA. Któregoś czwartku, z oczami żółtymi niczym siarka... I znowu nie chce!

*Nija nagle pojawia się w sypialni, młoda i olśniewająca. Patrzy na Aleksandra ironicznie i czule zarazem.*

ALEKSANDER. Nie wydaje ci się, że jest ich za dużo?

NIJA. Czego, kochanie?

ALEKSANDER. Oczu.

NIJA (*Przecząco kiwa głową*). Zamykam oczy i znów siedzę na jego kolanach, w ten przeklęty czwartek, na strychu mojej siostry ciotecznej. Z tą straszliwą ciemnością we mnie i wokół mnie...

ALEKSANDER. Leżę na plecach, więc ich nie widać...

NIJA. Obym cię nigdy nie spotkała! (*Pomaga mu się podnieść, nie zauważa płyty na jego plecach.*) Bodaj szczyły wszystkie siostry cioteczne!

ALEKSANDER. Nie podrapałaś się czymś?

NIJA. Czym na przykład?

ALEKSANDER. Dajmy na to – skrzydłami.

NIJA. Ty znowu o ptakach? (*Wybiega, po chwili wraca ze spodkiem pełnym mleka. Podaje mu.*) Mleko. Gotowane.

ALEKSANDER (*Niespodziewanie kopniakiem tłucze spodek*). Dlaczego w spodku?! Co to ma znaczyć?! W spodku daje się tylko... (*W panice obmacuje twarz, nos, całą głowę.*)

NIJA. Zupełnie jak wtedy. Chce być ze mną i zarazem nie chce. Dobrze więc, odchodzę. Przyjdę, kiedy sytuacja dojrzeje. Kiedy ty dojrzejesz... (*Zmierza do wyjścia.*)

ALEKSANDER. Zaczekaj! To dla ptaków! Prawda! Miałem się zajmować ptakami... Od małego je kochałem... Godzinami podglądałem gołębie, szpaki, kosy... Dlaczego nie zostałem ornitologiem? Dlaczego nie badałem tras ptasich przelotów? Dlaczego nie zostałem chociaż wróżbiarzem, wróżącym z ptaków? Powiem ci!

NIJA (*ironicznie*). Cała zamieniam się w słuch!

ALEKSANDER (*nagle tracąc rezon*). Sam nie wiem... Tak jakoś wyszło...

NIJA (*ironicznie*). Fascynujące!

ALEKSANDER. Dorosłem i...

NIJA. To się w głowie nie mieści! Nawet sam przed sobą się do tego nie przyznaje! Nawet w myśli!

ALEKSANDER (*Prawie krzyczy*). Dobrze! W porządku! Zmusili mnie! (*Cisza.*)

Nawet nie musieli zmuszać... Po prostu nikt mnie o nic nie pytał... Stało się. Samo z siebie. Rodzinna tradycja.

NIJA. Nie mogę tego słuchać!

ALEKSANDER. U nas po prostu wszyscy zostawali inżynierami.

NIJA. No jasne!

ALEKSANDER. Nic nie jest jasne! Marzyłem, żeby zajmować się ptakami, ale... nie miałam też nic przeciwko silnikom z wtryskiem.

NIJA. To się dopiero nazywa metamorfoza!

ALEKSANDER (*w panice*). Co?! Gdzie?! (*Obmacuje twarz, upewniając się, że nie stał się insektem.*) To są tylko organy powonienia, chyba widzisz... czułki... są bardziej jak anteny... Czego się gapisz?! No i co widzisz?! Czułki?!

NIJA. A wtedy wszystko wydawało się takie proste, ech życie...

ALEKSANDER. Takie nam było sądzone! Skąd wziąć inne?!

NIJA. Słowiki, pliszki, skowronki. Szpaki, wilgi, kosy. (*Aleksander zatyka sobie uszy.*) Synogarlice, gołębie, drozdy! Sikorki!

ALEKSANDER (*placzkliwie*). Na mnie liczono! Zawsze ktoś liczył, że będę właśnie taki, jaki według niego powinienem być! Rodzina... przyjaciele... żona... syn... Co ja mogłem poradzić? Nie dopuszczali nawet myśli, że mogę taki nie być! Nie chcieli mnie innego!

NIJA. Po prostu byłeś tchórzem!

ALEKSANDER. Zabraniam ci tak mówić!

NIJA. Bałeś się być sobą!

ALEKSANDER. Milcz! Nie po to cię przywołałem!

NIJA. Bałeś się... komplikacji, problemów, wszystkiego.

ALEKSANDER. Ty nie jesteś Nija! Od razu wiedziałem! Ty nie masz jej rąk! Pamiętam jej ręce! Nie miała obrączki! Miała bliznę na kolanie! A ty nie masz!

NIJA (*Mówi do siebie, jej żal podszyty jest ironią*). Bożego świata poza sobą nie widzieliśmy, zaczytywaliśmy się Joycem, przeżywaliśmy naszą wielką miłość... Na strychu mojej siostry ciotecznej... Ktoś zawsze rąbał drwa i zawsze był czwartek... Nieparzysty dzień, nieparzystego tygodnia, nieparzystego miesiąca... Bodajby szczęły wszystkie siostry cioteczne!

ALEKSANDER. Więc wiedziałaś?!

NIJA. O czym?

ALEKSANDER. O twojej ciotecznej siostrze... i o mnie... Kiedy wyjechałaś...

NIJA (*z gorzkim uśmiechem*). Skąd niby miałam wiedzieć... Przecież wyjechałam rok wcześniej... I też na strychu?

ALEKSANDER. Też.

NIJA. I też ktoś rąbał drwa?

*Aleksander nostalgicznie kiwa głową.*

NIJA I zawsze był czwartek?

*Aleksander milcząco kiwa głową.*

NIJA (*po chwili*). Z oczami żółtymi niczym Sahara...

ALEKSANDER. To był przypadek.

NIJA. Trzasnęły drzwi, ktoś powiedział: "Żegnaj i bądź przeklęty!" (*Idzie do wyjścia.*)

ALEKSANDER. Nie odchodź! Zostań! Kocham cię!

NIJA. Kochasz mnie?! A nigdy ci nie przyszło do głowy, że marnujesz mi życie?! Nigdy nie pomyślałeś, że siedzę i siedzę na tym parszywym strychu i nic tylko czekam?! Żeby przyszedł czwartek! Mój Boże, jakby w roku były tylko dwa czwartki! Jakby moja młodość trwała tylko dwa lata! Jak walizka wyniesiona na strych! Na przechowanie! Gdybym była pająkiem, zdążyłabym utkać sieć dla całej kuli ziemskiej!

ALEKSANDER. Miałem zobowiązania... Wziąłem na siebie odpowiedzialność...

NIJA. Jesteś tylko zimnokrwistym, tchórzliwym, beznamiętnym insektem!

*Aleksander rzuca się na nią i zaczyna ją dusić.*

ALEKSANDER. Ja cię zabiję! Ty nie jesteś Nija! Ona mnie kochała! Kochała mnie!

NIJA (*uwalniając się od niego*). Przyjemniaczek! Zawsze pełen dobrych chęci! Z oczami koloru żółtej żywicy! Która zlepiła mi skrzydła!

ALEKSANDER (*Skruszony osuwa się na ziemię*). Wszystko mogło być inaczej... całe życie... Unieszczęśliwiłem nie tylko ciebie... siebie też...

NIJA. Własnym uszom nie wierzę! Ty to powiedziałeś?!

ALEKSANDER. Po raz pierwszy mówię to głośno, dotąd nie śmiałem o tym nawet pomyśleć.

NIJA. Cóż to, zaczynamy wszystko od początku? Poszukujemy domniemanego szczęścia? Po to tu jestem?

ALEKSANDER. Ten złodziejasek miał rację – nieustanne marnotrawstwo. Wszystko, co choć na chwilę wypuści się z rąk, już bezpowrotnie przepada... Bezpowrotnie – to jego słowa...

NIJA. A teraz co – będziemy konkurować z chmurą deszczową?

*Aleksander zrywa się, owładnięty nową ideą.*

ALEKSANDER. Dlaczego zaraz bezpowrotnie?! Przecież ja wszystko pamiętam, czuję, potrafię odtworzyć... zaraz, już... (*Zamyka oczy.*) Smak twoich ust... blizna na kolanie... włosy...

NIJA. Najdroższy! Kochany!

ALEKSANDER. Czyż nie jesteś teraz tutaj, przy mnie?

NIJA. Jestem.

ALEKSANDER. Czyż mnie nie kochasz?

NIJA. Kocham cię.

ALEKSANDER. A więc, mogę... mogę... (*Cisza.*) Nija?...

NIJA. Tak, kochanie?

ALEKSANDER. Zdaje się, że nic nie mogę, prawda? Nija?

NIJA. Oczywiście, że możesz. (*Mówi jak do chorego.*)

ALEKSANDER. Wtedy mówiłaś mi to samo – oczywiście, że możesz. Możesz wszystko, czego zapragniesz.

NIJA. To prawda, kochanie.

ALEKSANDER. Nieraz... bardzo rzadko... zadawałem sobie pytanie... co się z tobą stało... Gdzie jesteś... co robisz...

NIJA. Ostatni pociąg przed zimą odchodzi o siódmej. Muszę zdążyć. Potem zaczynają się śnieżyce i człowiek jest odcięty od świata. Przez sześć miesięcy nie można się ruszyć.

ALEKSANDER. Rozumiem. Dokądś odchodzi pociąg i ty musisz na niego zdążyć. Nie wyobrażam sobie, co by robiły bez ciebie te wszystkie pociągi, samoloty i statki.

NIJA. Wyjeżdżam, chyba rozumiesz?

ALEKSANDER. Oczywiście, że wyjeżdżasz. Ty zawsze wyjeżdżasz. Najpierw wyjechałaś z tym Francuzikiem do Laosu. Potem do Perth w Australii... Do Capetown z jakąś firmą produkującą herbatę... Przypadkiem spotkałem twoją siostrę cioteczną...

NIJA (*Aż podskakuje*). Jeśli jeszcze raz o niej wspomnisz...

ALEKSANDER. To było sto lat temu! Naprawdę przypadkiem! Powiedziała, że ostatnio pisałaś do niej z Minneapolis, że pojechałaś do Kanady... na samą północ... Czego ty właściwie szukasz? Dlaczego wieszcznie jesteś w drodze? Dlaczego nigdzie nie zagrzejesz miejsca na dłużej?

NIJA. Zgadnij, do trzech razy sztuka!

ALEKSANDER. Nie chcesz mi powiedzieć. Uważasz, że nie jestem w stanie tego zrozumieć.

NIJA. Coś mnie gna po świecie.

ALEKSANDER. Nawet piszesz bez znaków przestankowych, żeby się nie zatrzymywać. Dlaczego? Za czym tak gonisz?

NIJA. Sama chciałabym wiedzieć.

ALEKSANDER. Dlaczego nie potrafisz cię zrozumieć?

NIJA. Istnieje inny świat, ale on znajduje się w środku tego. Sam musisz go odkryć. To jest twój świat.

ALEKSANDER. Nie rozumiem cię. Tak naprawdę nigdy cię nie rozumiałem do końca. Przy tobie byłem jak Piętaszek, któremu Robinson opowiada świat. To jest śmiech, mówiłaś, to sól, a to – szkło.

NIJA. Piątek.

ALEKSANDER. Słucham?

NIJA. Byłeś jak Piątek. Robinson nazwał go Piątek, bo właśnie w piątek trafił na wyspę. Nie Piętaszek. Piętaszek to wymysł tłumacza.

ALEKSANDER. Otóż to. Na każdym kroku dowiadywałem, że coś, co znam na wylot, jest czymś zupełnie innym. Inaczej się wymawia, inaczej się tego używa, inaczej odbiera.

NIJA. To najlepsza metoda odkrywcza.

ALEKSANDER. Nie przyjmować do wiadomości tego świata i wymyślić sobie inny?

NIJA. Nie wymyślić. Odkryć swój własny.

ALEKSANDER. Zupełnie jakby czas się cofnął o dwadzieścia lat! I jaki niby jest ten świat?

NIJA. Nikomu nie pożyczasz czapki. I jest deficyt cierpliwości.

ALEKSANDER. Nie pożyczasz czapki?

NIJA. To dwa główne wyróżniki. I permanentnie gubisz bilet powrotny. To trzeci.

ALEKSANDER. Nie pożyczasz czapki, deficyt cierpliwości i gubisz bilet powrotny?

NIJA. Kolejność jest dowolna.

ALEKSANDER. A jeśli go nie odkryjesz? Tego swojego świata?

NIJA. Musisz żyć w cudzym. Ale tam zawsze wieje. I nie wiesz, gdzie leży sól, a gdzie ryż.

ALEKSANDER. Ktoś zawsze rąbał drwa i zawsze był czwartek. Dlaczego tam nie zostałem?

NIJA. Byłeś na progu.

ALEKSANDER. Dlaczego się cofnąłem?

NIJA. Bo oni zawsze smołują gałęzie.

ALEKSANDER. Kto taki?

NIJA. Łowcy ptaków. I ptaki się przylepiją.

ALEKSANDER. Może dlatego nie jestem szczęśliwy? Bo zrezygnowałem? A może ja w ogóle nie zacząłem?

NIJA. Czego, kochanie?

ALEKSANDER. Tego swojego odkrywania... Z góry zrezygnowałem... Byłem ofiarny niczym pelikan i robiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwano, ale to nie wystarczyło... To było o wiele za mało...

NIJA. Aż taki pelikan to ty nie byłeś.

ALEKSANDER. Właśnie, że byłem.

NIJA. Nie byłeś!

ALEKSANDER. Nie mówisz jak Nija.

NIJA (*ostro*). A co ty o niej wiesz?! Poza tym, że wpisałeś ją na proskrypcyjną listę skazańców, o, takimi wołami! Na pierwszym miejscu! Własnoręcznie!

ALEKSANDER. Proskrypcyjną listę?

NIJA. Nigdy nie słyszałeś o listach zakładników, skazanych na śmierć albo wygnanie?!

ALEKSANDER. Dlaczego wyzwałaś mnie od insektów?

NIJA (*przyglądając mu się*). Cały aż płoniesz.

ALEKSANDER. Powiedz!

NIJA. I jesteś mokry.

ALEKSANDER (*Krzyczy*). Powiesz wreszcie, czy nie?! Czy ja jestem insekt?! Już jestem?! (*Cisza.*)

NIJA. Tam wino serwuje się w kostkach. Bo jest strasznie zimno. I wszystko zamarza.

ALEKSANDER. Gdzie?

NIJA. Tam, gdzie jestem. Mówi się – wczoraj wypilem sześć kawałków i dzisiaj mam lekki ból głowy.

ALEKSANDER. Wyglądam jak imago, może nie? Jak owad w ostatnim stadium metamorfozy.

NIJA. I mówi się jeszcze – włóż do lodówki, żeby się ogrzało. Bo lodówka to najcieplejsze miejsce.

ALEKSANDER (*zrezygowany*). Nijo, nie jestem szczęśliwy.

NIJA. Przypomina mi się nasza cierpliwość. Bezbarwna niczym lodowiec.

ALEKSANDER (*zrezygowany*). Nijo, ja się zmieniam w karalucha! Co mam robić, powiedz!

NIJA. Schowaj się w sobie!

ALEKSANDER. Ty nic nie rozumiesz! Pod tą płytą nie mogę nawet zipnąć!  
NIJA (*Przyglądając mu się, kiwa głową*). Nie zostawi po sobie nawet smugi obłoka...

ALEKSANDER. Nie, nie odchodź! Nie znikaj! Nija!

NIJA. Sen i my z jednych złożeni pierwiastków. Żywot nasz krótki w sen jest owinięty... Żegnaj, chłopcze! (*Wychodzi.*)

ALEKSANDER (*Krzyczy*). Nija! Kocham cię! Nieodwołalnie i bezodwołalnie! Słyszysz, Nija! (*Cisza.*) Odeszła... Nienawidzę tego faceta... Nienawidzę Szekspira... Nienawidzę tych słów... Zawsze, kiedy odchodzi je cytuje! Nienawidzę tej smugi obłoka! (*Krzyczy.*) Nija!

*Cisza. Nija zniknęła. Powoli z płytą na plecach Aleksander staje na swoim miejscu, tak jak na początku, podtrzymując ścianę. Milczy.*

ALEKSANDER. Ciekawe, swoją drogą, czy karaluchy rozmawiają ze sobą... czy sobie opowiadają... Muszą się przecież ze sobą porozumiewać... jakimś sobie znanym sposobem... Przekazywać obserwacje, sygnały alarmowe... Może powinienem z którymś pogadać... (*Cisza.*) Myśl o czym innym... Skup się na... (*Cisza.*) Pomyśl, dajmy na to, o czymś abstrakcyjnym... (*Cisza, myśli.*) Dlaczego do cholery nie przychodzi mi do głowy nic abstrakcyjnego?! Ciągle tylko myślę o... Całe życie przeleciało, a ja ani razu nie pomyślałem o czymś abstrakcyjnym... Ani razu... Żeby chociaż raz jeden ... Spróbować... Zrozumieć... (*Cisza.*)

*W ciszy słychać trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Odgłos lekkich kroków w przedpokoju...*

ALEKSANDER. Drzwi wejściowe! Ktoś wrócił! Żona! Słyszę jej kroki w przedpokoju... To może być tylko ona... bo tylko ona stąpa tak lekko... Jestem uratowany! Nareszcie uratowany! "Dnieje! Dnieje! Dnieje! – zakrzyknął kogut!"...

Wytrzymałem!... Wytrzymałem – to są fakty! Wiedziałem, że wytrwam! (*Śmieje się.*) Jeszcze nie całkiem zdiadziałem! Inny na moim miejscu już dawno by sflaczał!... Kochanie! Kochanie! Tu jestem!... Trochę podpieram ścianę! Tutaj, w sypialni! (*Żartobliwie, jak przy ciuciubabce*) A kuku! Dlaczego nie idzie? Kochanie! Słyszysz? Jestem tutaj! W sypialni!... No już wejdź wreszcie, przestań się skradać, słyszę cię! (*Zdumiony.*) Pies?! Zostawił coś przy drzwiach... Chodź no tu, łobuzie, co tam trącasz nosem... Pączek?! W połowie zjedzony... Ty chcesz mnie skurumpować?! Zrobić ze mnie współnika?! Chcesz mojego milczącego przyzwolenia na to, co robisz?! Mój Boże, jakże nisko musiałem upaść, że mój własny pies próbuje mnie przekupić!!! Chodź no tu i spójrz mi prosto w oczy!... Ha, boisz się! Myślisz, że można mnie kupić za cenę jednego nadgryzionego pączka?... Tak myślisz?! I uważasz, że to mi wystarczy?! Jeden pączek?!... I to bez marmolady!... Precz mi z oczu! Zabieraj się stąd! Żeby cię więcej nie widział!...

*Odgłos kroków. Drzwi otwierają się i zamykają. Cisza.*

ALEKSANDER. Co to się tak na mnie gapi?! (*Wykręca się na wszystkie strony, szuka czegoś.*) Kos?! Czego tu chcesz?! Jak się tu dostałeś?! Co się tak na mnie wybałuszasz?! Ślipia masz jak wrząca smoła!... Chcesz mnie przykleić do gałęzi?! Co masz mi do powiedzenia? Wiem, wiem... Te nasze wieczne miłości, trwające mgnienie oka, ten nasz wielki chichot, kpiny, zwycięstwa... Wiem... Ale nie robiliśmy tego z premedytacją... po prostu się żyło... Takie życie nam było sądzone, inne po prostu nie istniało... Słowo honoru! Śmiejesz się?! Co to za ptaszyska tu się wchają?! Ty je tu skrzyknałeś?! (*Rozgląda się wokoło, inscenizuje inwazję ptaków.*) Szpaki... wilgi... kosy!... Słowiki... pliszki... skowronki!... Sikorki! (*Wymachuje rękami, oganiając się od wyimaginowanych ptaków.*) Cały pokój jest ich pełen! Powietrza! (*Biega, miota się, próbując uciekać przed ptakami. Usiłuje się gdzieś schować.*) Brak mi tchu! Duszę się! Każdy milimetr pełen jest ptaków! Każda drobinka powietrza! I ciągle nadlatują nowe! (*Wybrania się przed nowymi intruzami.*)

Wdzierają się tu! Nacierają!... Jestem niewinny! Zdradziłem was, ale zdradziłem też siebie! Też zostałem ukarany!... I to bardziej niż wy!... Nie! Nie! Nie!...

*Aleksander miota się po pokoju, broniąc się przed ptakami. Szuka bezpiecznego miejsca, ale go nie znajduje. Próbuje schować się pod łóżko, pada na kolana i w tej pozycji zostaje go Władimir, który wchodzi do pokoju.*

WŁADIMIR. Jeśli szukasz czegoś do picia, to nie tam. Tutaj! (*Wskazuje butelkę koniaku, uwiązaną na szyi.*)

ALEKSANDER (*Podnosząc się*). Władimirze! To ty?!

WŁADI. Nie każdy, kto nosi koniak na szyi i ma uszy spuszczone na kwintę musi zaraz być psem bernardynem! To mogę być przykładowo ja!

*Władimir wykonuje efektowny ukłon, niezwykle wyrafinowany na wzór ukłonów dworskich – z lansadami, przysiadami, wymachami rąk, skłonami, cofaniem się do tyłu i dziwaczными figurami. Ma na sobie kustium mima i charakterystycznie wymalowaną twarz. Na szyi wisi mu butelka koniaku. Od pierwszej chwili widać, że jest kompletnie pijany, ale próbuje to ukryć. Wielokrotnie chwieje się i zatacza podczas składania pokłonów, ale zawsze w ostatniej chwili unika upadku i kontynuuje dworski rytuał. Wszystko wykonuje ze swoistą godnością, bez pijackiego belkotu...*

ALEKSANDER. Władimirze!

WŁADIMIR (*Kończąc pokłony*). Uwiązałem sobie koniek na szyi, bo bez przerwy go rozlewam. (*Chwieje się.*) Butelka się przewraca... A tak jest stabilna i się nie przewraca... (*Przewraca się na podłogę.*) W przeciwieństwie do mnie... Sznurek jest dostatecznie długi, żeby... żeby... (*Leżąc na podłodze, szuka butelki, znajduje ją po omacku i pije.*) się napić... Upuszczam ją... i nie upuszczam... (*Gładzi butelkę.*)

ALEKSANDER (*z przerażeniem*). Władimirze! Ty jesteś pijany!

*Władimir z wysiłkiem staje na nogi, ale znów się zatacza. Na koniec odzyskuje równowagę i chwieje się tylko nieznacznie.*

WŁADIMIR. Nie jestem!

ALEKSANDER. Jakżesz nie?!

WŁADIMIR. Nie jestem pijany!... Jestem kompletnie zalany...

ALEKSANDER. Jeszcze i to, mój Boże...

*Władimir nagle trzeźwieje, nie znać po nim poprzedniego zachowania.*

WŁADIMIR. No, może nie był to mój szczytowy numer, ale czego się nie robi dla podtrzymania formy!

*Wykonuje jeszcze jedną choreograficzną etiudę.*

ALEKSANDER. Kiedy wyjeżdżałeś z domu byłeś studentem politechniki.

WŁADIMIR. W naszej rodzinie brakowało linoskoczka.

*"Chodzi" po "linie" leżącej na podłodze, wymachuje rękami, utrzymując równowagę.*

ALEKSANDER. Chodzisz po linie?!

WŁADIMIR. W zasadzie jestem mimem.

ALEKSANDER. Mimem?

WŁADIMIR. Uprawiam pantomimę. Nie za dobrze radzę sobie z językiem, rozumiesz, co mam na myśli?... To z powodu kłopotów z wysławianiem się. Wolę milczenie.

ALEKSANDER. Mim.

WŁADIMIR. Parę razy zmieniałem specjalności zanim doszedłem do liny.

ALEKSANDER. Ale dlaczego lina?! Przecież ty byłeś...

WŁADIMIR. Wrodzone poczucie równowagi. To u nas dziedziczne. Powiedzmy – dziedziczna skaza.

ALEKSANDER. Oskarżasz mnie.

WŁADIMIR. Mówię tylko, że to tkwiło we mnie od zawsze, okazało się moim najsilniejszym instynktem. (*Znów "balansuje" na "linie", krocząc po pokoju.*)

Postawiłem na równowagę i wygrałem.

ALEKSANDER. Mnie do tego nie mieszaj!

WŁADIMIR (*z zachwytem*). Jakżesz ty umiałeś balansować! Szedłeś samym środkiem jak po sznurku! To wprost niewiarygodne! Ani jednego fałszywego kroku! Ani razu się nie zachwiałeś! Byłeś zawsze w samym środku środka!

ALEKSANDER. A jakie ja miałem inne wyjście? Byłem kompletnym przeciętniakiem.

WŁADIMIR. Mówię ci to jak profesjonalista profesjonalście. Nie bez zazdrości.

ALEKSANDER. To się nazywa ekwilibrystyka. Przez całe życie. Myślisz, że to było łatwe?!

WŁADIMIR. Myślę, że jesteś niedościgniony. Ale i ja mam swoje małe sukcesy. Pantomima na drucie bez asekuracji! To są, rzecz jasna, tylko proste etiudki, przecież to nie "Król Lear"... Nieraz zabieram ze sobą na górę kontrabas i gram jakiś kawałek, jakiegoś starego dobrego bluesa. Z dołu wyglądam fantastycznie: przystojny, oczy koloru ciepłego popiołu, w sztywno odprasowanej białej koszuli niczym seryjny morderca, z kontrabasem w rękach!

ALEKSANDER. Nigdy mi tego nie wybaczyłeś, prawda? Na co ci taki ojciec?... Taki był gorszy, niż gdyby go wcale nie było...

WŁADIMIR. Nie przejmuj się, ciebie i tak nie było.

ALEKSANDER. Chciałeś, żeby twój ojciec był Che Guevarą, wiadomo. Albo żeby przynajmniej zamarzył na Czomolangmie!

WŁADIMIR. Wprost marzyłem o tym. Przy schodzeniu do ostatniej bazy.

ALEKSANDER. Twoje marzenie się prawie spełniło... Mnie już po prostu nie ma... znikalem partiami, aż całkiem zniknałem... Teraz już jestem kompletnie wyludniony... pusty... nie ma nikogo... I nikt nie przyjdzie...

WŁADIMIR. Ja i tak się czuję szczęśliwy. Taki jaki jestem. Po prostu, chodzę sobie po linie. I trzymam się w formie.

ALEKSANDER. Nigdy nie przypuszczałem, że wszystko straci sens aż do takiego stopnia... (*Cisza.*) Żyliśmy, żeby żyć z wami... (*Nerwowo spaceruje w milczeniu.*) To był jedyny sens... Teraz was nie ma... Zniknęliście... No cóż, byłem niezauważalny... zawsze mnie brakowało... wszystko rozgrywało się beze mnie, poza mną, wszystkie wydarzenia, to prawda... Ale... taka była strategia... rozumiesz... czas i miejsce... Czasu i miejsca się nie wybiera...

WŁADIMIR. Rozumiem. Zimowe przystosowania zajęcy. W lecie – szaraki, a gdy przymrozi – śnieżnobiałe!

ALEKSANDER. Nic nie rozumiesz. Nie znasz smaku poniżenia... codziennego, pełzającego, zimnego niczym lodowiec, poniżenia... Naszym jedynym marzeniem była odwilż...

WŁADIMIR. Wiesz, co jest najbardziej odlotowe w chodzeniu po linie nad wodospadem Niagara? Że tam nie ma słów. Żadnego gładzenia. Tylko lina i przepaść.

ALEKSANDER. Jesteś w Kanadzie?

WŁADIMIR. I powiem ci, czym się tak naprawdę zajmuję – eksterminacją słów. Każdego dnia – po jednym. Zamykam szczelnie okna, zaciągam zasłony, wybieram sobie jedno słowo i je zapominam. Wymazuję z pamięci. Więcej go nie używam. Zupełnie jakby go nigdy nie było. Moim ideałem jest milczenie absolutne. Cel to bardzo odległy, ale powoli się zbliżam...

ALEKSANDER. Nie zostały ci przynajmniej dwa... przynajmniej "jeszcze żyję"... żebyśmy wiedzieli...

WŁADIMIR. Pod pokładami słów są pogrzebane całe pokolenia... Włącznie z moim... Skąd mam wiedzieć, czy jeszcze żyję?...

ALEKSANDER. Wolimy wierzyć, że jesteś na uczelni... że po prostu jeszcze nie wróciłeś... I jest rano... Normalnie wracasz koło obiadu... Od dwóch lat jest ciągle rano...

WŁADIMIR. Tymi słowami, które jeszcze ocalały, piszę do ciebie listy. Coraz krótsze, bo słów jest coraz mniej. Nie wiem, co mi każe pisać... Chociaż właściwie wiem... Te osławione porywy krwi, te osławione kody, które niby przekazywane są z pokolenia na pokolenie, te osławione kwasy DNA... Nie wysyłam tych listów, wtykam je do butelek po koniaku i stawiam w pokoju... Kiedy go zapełnię, wynajmę sobie drugi. A jeśli dobrze pójdzie, to kiedy wynajmę trzeci, będę już wolny, słowa się skończą... Da Bóg, wtedy odrodzę się na nowo.

ALEKSANDER. Ciągle mam wrażenie, że zjawiasz się, kiedy patrzę w inną stronę... Ale kiedy gwałtownie się odwracam, ty już jesteś za rogiem...

WŁADIMIR. Najpierw jednak trzeba coś zmienić, zerwać ten łańcuch...

ALEKSANDER. Dosłownie mam ochotę się zastrzelić! Więc to było to?! Nie zgadzam się! To miało być życie?!

WŁADIMIR (*Patrzy na niego, kiwając głową*). Jak stłuczona lalka, której oczy wpadły do środka!

ALEKSANDER. Nie zgadzam się!

WŁADIMIR. I znowu wytwarza samogłoski i spółgłoski!

ALEKSANDER. Kiedy się urodziłeś...

WŁADIMIR. Wiesz ty co?! Niech każdy sam sprzątnie swojego trupa!

ALEKSANDER. Władimirze!

WŁADIMIR. Reszta jest milczeniem!

*Władimir kroczy po pokoju niczym po linie, z rozpostartymi rękami, balansuje, chwieje się, zatrzymuje, żeby odzyskać równowagę, znów rusza do przodu, jakby szedł nad wodospadem Niagara, zapatrzony w przestrzeń...*

ALEKSANDER. Nie odchodź?! Słyszysz?! Nie zostawiaj mnie!

*Krocząc po "linie", Władimir wychodzi.*

ALEKSANDER. Poszedł... Wędruje nad tym swoim wodospadem... Bodajby go... Nie mam już siły... Już dłużej nie wytrzymam... Dotąd wytrzymywałem, ale już nie mogę... Wszystko wytrzymałem... Jak karaluchy... A może ja od początku byłem karaluchem... który wcielił się w człowieka... Któremu ubrdało się, że jest człowiekiem... albo bardzo pragnął nim zostać... Bo ja wiem... Tak czy inaczej żyłem jak karaluch i najwyższy czas powrócić do swojej prawdziwej istoty... do własnej istoty... wejść we własną skórę... Ty mój szpaczku na czubku róży, kosie, przez całe życie stojący mi w gardle ością, i ty skowronku na drzewie - żegnajcie! Najdroższa, i ty, mój synu, gdziekolwiek jesteście, żywi czy umarli – żegnajcie mi! Żegnajcie, odchodzę w szpary, w szczeliny, w załomy... tam, gdzie moje miejsce... To już koniec. Koniec ze słowami, z wymówkami, z uśmiechami, ze wszystkim... Koniec z ludźmi... Będę siedział w swojej starej kryjówce, w szparze pod piecem, tam naprzeciw ciszy, ciii... Nie mówmy już więcej... nie mówmy... (*Cisza.*)

*Cisza. Krąg światła stopniowo się zawęża, wolno, niespiesznie jakby współuczestniczył w metamorfozie, w przekształcaniu Aleksandra w karalucha wraz z płytą, która równie niespiesznie chyli się ku ziemi, gnąc Aleksandra i wciskając go w podłogę. Nieomal zmiądzony przez ścianę, w ciszy nagle rozdzwania się telefon... Płyta i światło nieruchomieją... Światło pada już tylko na twarz Aleksandra. Znowu dzwoni telefon... I znowu... Włącza się sekretarka... Słysząc głos żony.*

GŁOS. Saszo!... Saszo! Odezwij się!... Co się z tobą dzieje?! Halo, słyszysz mnie?! Odezwij się!

ALEKSANDER. Nie ma nikogo. Tylko puste pokoje.

GŁOS. Saszo!

*Aleksander milczy, sekretarka się wyłącza, cisza. Światło oświetla tylko jego twarz, oczy i nos, wąskim promieniem niczym szpara w murze, niczym rozpadlina, niczym pęknięcie... A potem nagle z hukiem znika, w momencie gdy płyta ostatecznie osuwa się na ziemię. Ciemność.*

*K O N I E C*